

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 9 grudnia 1916 roku.

Nr 50.

Juliusz Kaden-Bandrowski.

NOWELA.

PANI DOKTOROWA.

Tegoby się nikt nie spodziewał... Nikt nie śmiał o tem myśleć, choć wszyscy marzyli, że kiedyś...

Słuchy — były słuchami, oderwane czyny spisku — czynami wyjątkowej śmiałości, lecz...

— Ludzie! ludzie moi! — krzyknęła.

Snopy złotych isker czy radość, uradowanie czy wdzięczność, czy modlitwa?... Ogarnęło panią doktorową jakieś ogromne wyzwolenie z wszystkiego, co krępuje, i wraz, — przywiązanie bezgraniczne do ziemi, domów, do nieba i powietrza...

Stała przy oknie, wychodzącem na rynek małego miasteczka, nie mogąc się oderwać stąd.

Oderwać się budzić męża i dzieci! Niech cała rodzina, to jedyne w życiu, jej rodzina — niech wszyscy razem na to patrzą. Jakby to potem miało pokoleniami iść naprzód i w pokolenia wracać...

Lecz nie oderwie się stąd żadna siła, a tylko w oczach łzami zasnutych ukazuje się ów oddział, nieczem chóry rycerskie: Oto stoi na rynku z bronią u nogi, oto siną wstęgą przewijają się nad dachami, — utwierdził się wysoko pod niebem skromny i szary w objęciu brylantowych promieni słońca...

Lzy opadły.

Nie jest to sen, ani marzenie...

W kolisku małych, biednych domów, na drobnych, jak gomółki, kamkach bruku stoi oddział Polskiego Wojska.

Ubogie ono jest, oberwane, w dreluchu, w płócienu, w byle czem... Żadne tabory za nimi nie ciągną, żadne wozy, żadne parki tętniące...

Tylko na czapkach okrągłych połyskują białe orły w słońcu, jak najlepsze otrzeźwienie, jak lód, czy wielkie srebrne skry.

Ubogie ono jest, to wojsko, zmarnięte po nocy całej.

Ptaki polskie, — ptacy niebiescy...

Widać, że zerwali się nagle, prawie — jak kto stał, z czem kto miał...

Zmęczeni muszą być!... Posiadali na tornistrach, ten przestępuje z nogi na nogę, tamten wyciągnął się na bruku i śpi słodziutko, inni gadają i śmieją się wśród promieni słońca, a ono lśni między nimi, jakby to ich śmiech tak się skrzył...

Ogromne, dumne szczęście drży w sercu pani doktorowej... O blizkiej śmierci żaden z nich nie myśli, choć każdy wie...

— Miłj moi... Jedni wy!...

Pobiegła do sypialni dzieci. Obudzwszy chłopca i dziewczynkę, przyprowadziła do okna, całując w twarz i w rozspane świeże oczy.

— Czy będziesz to pamiętać, Jasiu?... Czy zapamiętasz to, Helenko?

Ogarnęła ich szyje ciepłymi ramionami i wszyscy troje wychylili się z okna.

Dzieci w niebieskich narzutkach i matka w pasowym kaftanie, — dwie niezapominajki i róża...

— Widzisz — przyszli do nas Strzelcy. Żołnierze polscy. Widzisz — teraz będą jedli...

Cieplą herbatę im wynoszą...

Mają chleb, — widzisz? A tamci śpią, bo są zmęczeni... Patrz, jak ten biegnie prędko! To oficer. A ten na koniu, — widzisz — jaki zwinny?... Czy będziesz to pamiętać, Jasiu?...

Usłyszała za sobą ciche kroki męża. Jedną ręką przytrzymując dzieci, drugą objęła go w pól.

Nagle, sposobem niepojętym ułożyło się właśnie teraz wszystko w jedną harmonię... Teraz dopiero zrozumiała pani doktorowa, dlaczego mieszkali w tym głuchym kącie tyle lat, dlaczego tak pokochała swego męża, dlaczego ma tych dwoje dzieci, dlaczego, — nawet i to, dlaczego słońce wschodzi nad ziemią.

Ostra komenda sprężyła szeregi pierwsze. Surowy rozkaz szedł w głąb rynku, stawiając na nogi tych, którzy leżeli.

— Czy będziesz to pamiętać, Jasiu?

Patrz na nich wszystkich...

Szła wzrokiem wzdłuż szeregu, starając się przeniknąć każdą z tych twarzy młodych i poważnych. Starając się na wierne wieki wieczne zapamiętać tę chwilę.

— Czy dobrze ich widzisz, Jasiu, wyruszają do bitwy!

Nadjechał komendant, przemówił parę słów.

Buchnęło z szeregów śpiewem ogromnym, jak chmura, jak burza.

Ludzie na chodnikach cofnęli się przerażeni jawnością tego śpiewu.

Doktorowa schyliła twarz między główki dzieci i tuląc swe usta do lekkich włosów Helenki, patrzyła, jak oddział wyrusza naprzód.

— To gdzie oni idą, mamusiu?

— Idą się bić z moskalami, idą się bić!...

Na bruku dudnił miarowy krok marszu, szli czwórkami pochyleni wprzód. Z gromady domostw wyłonił się na wstędze gościńca, pełnącego wśród pól zielonych.

Aż znikli w ametystowym drzeniu horyzontu.

Pozostała w mieście część oddziału weszła w boczną ulicę.

Tłum gawiedzi pozostał jeszcze trochę, ludzie powzdychali, pogadali i rozeszli się.

Nie zdało się pani doktorowej rzeczą godziwą, a już tem mniej wystarczającą przyjmowanie żołnierzy po domach poszczególnych.

Uważała, że całe miasto winno ich przyjąć. Że powinno wszystkiego dostarczyć, we wszystko zaopatrzyć. Że całe miasto, jak w wielkie święto...

Jak w największe święto...

Na progu zatrzymał ją mąż.

— Gdzie idziesz?

— Do miasta, ma się rozumieć...

— To się przecież na nic nie zda.

— Dlaczego?

— Cóż my wszyscy tu możemy...

— Ależ... — Uśmiechnęła się prawie że pobłażliwie.

Patrzył, jak biegnie ze schodów, i słuchał jej kroków w sieni domu...

Cień żalu i smutku ogarnął doktora... Urodził się tu, tu się wychował. Tu umarli jego rodzice. I tak, jak ten swój dom, znał miasteczko oraz wszystkich jego nieszkańców. Aż przypomniał sobie, że stoi na progu swego cichego domu i czeka, kiedy wróci żona rozczarowana, zniechęcona... Bliższa mu w smutku, niż w aureolach tej radości.

Wstydząc się tych myśli, zamknął drzwi.

Doktorowa wróciła do domu o zmroku, nie śmiąc zwierzyć się mężowi z tego, co ją spotkało na mieście...

Spotkał ją strach, nieufność, powszedy pełnące plotkę o całym ruchu, brak zaufania; jakaś algebra, kalkulacja nadziei politycznych, z których wynikało, że wszystko to, co hańbi inne narody, stanowić będzie o polskiego narodu dojrzałości...

I najgorszy ze wszystkiego — śmiech...

— Jednak — bo nie mogła się ostatecznie nie poskarżyć mężowi — śmieją się z nich... Że tego nie mają, owego, że są źle umundurowani, niejednolicie uzbrojeni... Przecież to tak, jakby się matka śmiała, że jej własne dziecko gołe na mrozie marznie... Nie wiedziała już, jak inaczej to wypowiedzieć.

— Trzeba zaczekać — rzekł doktor. — Nie dziw się. W mieście pełno szpiegów... Ludzie się boją...

Dziwnie ją drażnił słodkawy zapach karbolu, który przenikał wszystko w tym pokoju ordynacyjnym. Zdało się pani doktorowej, że nie tylko ludzie, że rzeczy boją się tu własnego cienia, a dusze własnej odwagi, a domy własnych kształtów, a każdy ogień własnego żaru. Wszystko tli tylko, nędznie pełga, lichy zamiera.

Jakby ją tu osaczyły meble i przyrządy lekarskie, bez wyjścia...

Opuściła ręce.

— Mogą wrócić — mówił powoli doktor, obracając w rękę małego sfinksa z biurka — pocóż narażać się dla jednego uniesienia?...

— Mój Boże...

— Ja się bynajmniej niczemu nie przeciwstawiam, — dodał jeszcze.

— Tu się nikt nikomu nie przeciwstawia...

Mój kochany...

— Ależ rzeczywiście.

— Połóż-że, mój kochany, tego sfinksa.

Doktor uważnie popatrzył na żonę.

Mrok zapadał, jakby niższym czyniąc sufit pokoju.

Daleko na polu wielka cisza krwawiła w blaskach zachodu.

Doktorowa zdjęła palto i poszła do dzieci.

Podczas kolacyi wprowadzono szturmem na podwórze konie jakieś.

— Nasza konnica — krzyknęła pani doktorowa.

Doktor podszedł do okna. Usłyszał po chwili, jak żona odkładała książeczkę z domowymi rachunkami, które sprawdzała co wieczór. Wiedział już, że postanowiła działać na własną rękę.

— Tyle to znaczy — dodał nagle — co te iskry z pod kopyt końskich... wobec ogromu tej ciemności...

Doktorowa powstała...

— A zresztą choćby tylko tyle... Zawsze lepiej, niż nic...

Wyszła.

Spostrzegł ją na rynku oświeconym przez blask księżyca, zatrzymującą się koło jeźdźca.

Kłaniał się jej z konia i coś tłómaczył.

Doktor nie chciał pomyśleć, że to obcy jeździec odbiera mu żonę. Był to nonsens... A kto tu jest teraz właściwie obcy, a kto swój?

Echem wróciło: Tyle — ile te iskry, wobec ogromu ciemności. I — lepiej to, niż nic...

Twarz żony, w otoczy dokoła głowy plecionych warkoczów, twarz, którą kochał, jak własną duszę — była teraz biała, nieomal przezroczysta...

Widział, jak usta jej mówią, a oczy śmieją się wielkimi iskrami.

Tak było oddawna przecież, w legendzie Narodu — koń, niewiasta, blask księżyca — w legendzie, na obrazie, w tem wszystkim, co jest strzępem osłody...

Jeździec podziękował doktorowej i zawrócił.

Została sama na środku rynku... Kawalerzyści pocwałowali boczną u-

licą. Zrobiło się pusto. Z pod muru wyszedł strażak w błyszczącym hełmie i szeleszcząc, jak karaluch, przemaszzerował na ukos, z ogromnym cieniem u boku. Doktor wyszedł po żonę. W milczeniu wrócili do domu, nie życząc sobie, jak zwykle, dobrej nocy.

Już na drugi dzień udało się pani doktorowej zgromadzić trzy panie około swej idei, — nauczycielkę, żonę weterynarza i żonę adwokata. Właśnie radziły w saloniku pod sztynym liściem sztucznej palmy.

Przerwał im naradę tumult jakiś na rynku...

Panie skoczyły do okna. Poszczególne patrole wyruszały już z rynku w ulice.

Zaczęto gwałtownie zamykać sklepy. Ludność szarpała się nerwowo u bram, skacząc przez parkany. Głuchy trzask zamykanych gwałtownie okien, drzwi i okiennic sprawiał wrażenie, jakby niewidzialny a moźny przeciąg pędził po mieście, i huczał rozgłośnie. W kilka minut później miasteczko opustoszało zupełnie i głucha cisza zaległa plac, prążony silnem słońcem. Jakgdyby prężyć się i sztywnieć zaczynało wszystko w tym blasku...

Pani doktorowa stała przy oknie (gdzież się podziały tamte panie?), kładąc ręce na wzburzoną pierś. Serce jej biło tak głośnie, że chyba słychać je, — bijące we wszystkich sprzętach w całym domu, w całym mieście, — w ziemi... Lada moment miała zakwitnąć ta sprawa dawna nadzwyczajna...

Znów wpadło do miasta kilku jeźdźców. Okryci byli pyłem, widać zmęczeni bezmiernie, — po twarzach ich spływał pot, kreśląc szare zacieki od skroni aż po szyję. Zatrzymali się w cieniu przed domem doktorostwa, nie zsiadając z koni.

— Pewno, żeby można!... Ale wszystko tu pozamykane, — doszedł głos żołnierza z dołu. — Cholery, boją się nas, jak kozaków...

Przez rynek przebiegło kilkustu piechurów.

Gdzieś daleko z pól gruchnął pierwszy strzał.

Pani doktorowa uśmiechnęła się i przeszła do jadalni. Tu czekał na nią mąż, stojący bez powodu przy kredensie z granatowym bratkiem w rękę.

— Gdzie idziesz? gdzie idziesz?

— Kluczy szukam. Tak, mój kochany, kluczy od piwnicy.

— Leżą tu... — Zawahał się chwilę...

— Więc widzisz...

Wyszła, wzięwszy je i już nie oglądając się na męża.

Za miastem luczwały pojedyncze strzały coraz gęściej. Doktor słuchał, słuchał wśród nich grobowej ciszy swego domu. Zbiegł na dół do sieni.

— Nie wyjdiesz. Tego nie zrobisz — zawołał do żony. W jednym ręku niosła kubki blaszane, kosz z chlebem, w drugim duży dzban pełen mleka.

Spierając się, postępowali ku drzwiom, aż stanęli u bramy. Objęła męża za szyję.

— Uważaj na dzieci — rzekła — całując go w usta.

I wyszła... Radość, dusza domu, szczęście życia...

Otoczyli ją konni.

— Może się panowie napijecie... Taki skwar.

I chleb mam!...

— Jest chleb? Rany Boskie — dawajcież obywatelko...

Jeden po drugim brał od niej kubek i pił.

Rozpierał się na koniach i dyżąc radośnie, gryzł chleb.

Porwała ich stąd szybką kometą. Zmieniano posterunek przy wyłotach ulic. Powracający żołnierze przychodzili pod dom, przed którym stała. Tu raczyli się mlekiem i chle-

hem, wywracając do góry oczy nad metalowym półkregiem kubka.

Ten i ów piechur ocierał przybielone młode wasy, rękę opierał na biodrze i sapał.

— Pijcie więcej — prosiła — zaraz przyniosę jeszcze.

Szła między nimi, śmiejąc się na widok odchylanych podejrzliwie okienic, szczęśliwa, jak nigdy dotąd w życiu, z tym dzbanem pełnym mleka, rzekłbyś, pełnym opali płynnych, rzekłbyś, pełnym spokoju i najczystsze macierzyństwa.

KONIEC.

JÓZEF RELIDZYŃSKI.

O jakże wielkie idą ku nam chwile!

BOLESŁAWOWI POCHMARSKIEMU.

O jakże wielkie idą ku nam chwile!
o jakże wielkich serc dzisiaj potrzeba!
ile trza woli dobrej, pracy ile,
aby kółkiem zachwaszczona gleba
niewoli długiej, w słońca złotym pyłe,
kłosem szumiła; z pod szarego nieba,
na nędzy polskiej bezkreśnym ugorze,
by zadzwoniły znów skowronki boże!

Zali nam siły po temu wystarczy
i woli dobrej i ducha wielkości?
zali nam dźwiękną serca, nakształt tarczy,
moc postanowień męskich w nas zagości?
zali dobędziem, i młodzi i starczy,
ton z piersi taki potężny, że kości
tłające pięciu pokoleń poruszy
wieścią, co zabrzmi, jak piorun wśród głuszy?...

A więc w proch sypiesz się Domu Niewoli
i kajdan rdzawe pękają ogniwa,
siew ziaren krwawych wschodzi i powoli
wstajesz, o Polsko — nie w marzeniu — ŻYWA!
(o jakże losów tajemnicza kolej
nieublagana, dziwnie sprawiedliwa!)
Upiorem byłaś, co wyrzutem błyska
i sen odbiera — otoś jawa blizka!...

Jakimże będziesz, o nasz stary domie? —
ty, coś niewoli był domem, a ninie
być domem SŁAWY masz, gromem, co łomie,
młotem, co kuje, kształtem, co nie minie,
jako mijają w stworzenia ogromie
kształty co słabsze; w Wskreszenia godzinie —
dzwonem, co na świat cały się rozdzwoni...
o domie ślubny Orla i Pogoni!

Jakimże będziesz?... Niespokojne oko
polaka w mroku rozgląda się skrycie,
zali w szarzyźnie jego, pod posoką
krwi, jadem zwątpień, płomień tli w błękitie
dusz? zasię ucho radeby głęboko
pod piersi braciom przyledź, serc ich bicie
podstuchać, zali, jako dzwony, dźwięczą
i zali pierś ich nie piersią zajączą?

Jakimże będziesz? — szemrzą fale Wisły,
grzmia Tatr granity; z wawelskich podziemi
spojrzeniem na nas — pytaniem zawisły
prochy najświętsze, z błogosławięciami
dłoni, a z ziemi, krwią i potem skistej;
głosem potężnym, który wichry niemi,
wołają zmarli... wołają i patrzą,
zali twarz żywych od ich nie jest bledszą?

O takim będziesz, jakim mieć cię chcemy,
ile w nas woli dobrej, ile siły!
o takim będziesz, jacy my będziemy...
Wielka to chwila, gdy patrzą mogiły!
wielka to chwila, kiedy anatemy
pokoleń, co się jeszcze nie zrodziły,
tym grożą, którym Los się w dłonie schyla...
Zaliż zastanie karty wielka chwila?

O nie! przenigdy... Na Zawiszów cienie,
na ból Rejtanów, zmore, co się kładzie
w grób — Targowicy widmo, na sumienie
Trauguttów czyste, na sen nasz o SZPADZIE —
sen, co dziś jawą się staje, płomienie
męki piekielnej, sobie i gromadzie
wrogów ślubujcie MOC...

Możecie przysiądź!

Jak zóraw czujny, trwa WALECZNYCH TYSIAC...



WOJENNYM SZLAKIEM.

(WRAŻENIA Z PODRÓŻY).

2

II.

Z Finlandyi do Sztokholmu.

Od Uleaborga, gdzie policyant finlandzki żąda od nas w łamanej ruschczyźnie znów okazania paszportów, poczyną się już kraj o cechach dalekiej północy, ubogi, jałowy, nędzny. Prawie tundra. Słońce nie gaśnie wcale. Jesteśmy w pasie nieustającego dnia o tej porze roku, dnia, który towarzyszyć nam będzie bezustannie aż do Sztokholmu prawie. Tam po raz pierwszy zobaczyłem znów zmrok i latarnie. Tymczasem pociąg wlecze się dziwnie ospale wśród okolic pustynnych, pępnych; wód tylko widać coraz więcej: jezior, strumieni i rzeczek. Nareszcie po południu, drugiego dnia od wyjazdu z nad Newy, stajemy w Torneo. Tu się kończy już panowanie rosyjskie. Ale w ostatniej chwili jeszcze daje nam się we znaki. Rewizja i badania w Biełostrowie w porównaniu z tem, co robią z nami tu — były błahostką. W Torneo znęcają się nad podróżnymi z żołdacką bezwzględnością. W ciągu szeregu godzin trzymają nas zamkniętych w paru izbach, wypytują, przetrząsają ubranie, rzeczy — czyniąc to tak, jakgdyby każdy był notorycznym zbiegiem albo przestępcą politycznym. Żandarmi są niezadowoleni ze wszystkiego.

— Pan się ostrzygł — strofują jakiegoś finlandczyka — podczas gdy na fotografii w paszporcie ma pan obfite włosy. Co to znaczy? Dlaczego? Pan nie jest dość podobny. Może to pański brat...

Zrozpaczony finlandczyk tłómaczy się, jak umie, kalecząc mowę rosyjską najstraszliwiej. To wprowadza żandarma w większą wściekłość. Argumenty, iż w upał letni ostrzydzić się wolno każdemu, że fotografie paszportowe naogół są karykaturami zazwyczaj — nie trafiają mu do przekonania.

— Pan jesteś podejrzany — brzmiał rezolucya. Będę telegrafował do Petersburga. Zaczekaj pan do jutra.

Od tego niema apelacji... Jakaś norwedka, którą wloką do osobistej rewizji od wyjazdu już po raz drugi — płacze. Nic nie pomaga. — Znalezione u niej karty pocztowe z widokami — to dosyć.

Najbardziej po stoicku zachowują się, oczywiście, anglicy, ale też wobec nich „władze“ są, jak baranki.

Tych ruszać, rzecz ślizka. — Sir Buchanan, trzęsący dzisiaj Rosyą, umie być bardzo przykrym. Anglicy więc wydostają się z objęć żandarmów do sali jadalnej najpierwsi. Wreszcie wpuszczają tam i nas... nieuprzywilejowanych. Rzucamy się skwapliwie na wielki stół, zastawiony mnogością potraw niezliczoną, wśród których przeważają — mięso wędzone i ryby wszelkich odmian. To typowy obiad finlandzki. Każdy je, ile chce, sam sobie służąc. Płaci się za to 2 mk. Żeby tak choć kroplę wina, bo wszystko ostre, słone! Ale, niestety — bezwzględna „trzeźwość“ obowiązuje i tu na stacyi. Do miasta zaś wydalać się nie wolno. Każą nam siadać wprost na statek, granicę Rosyi stanowi bowiem rzeka Torneo. Po drugiej stronie jej powiewa wspaniała, widoczna już zdaleka chorągiew z krzyżem szwedzkim. Tam jest już pokój, wolność.

Z dziwnem wzruszeniem wstępuje się na tę ziemię szczęśliwą, otrząsając z nóg pył rosyjski. Jakież tu wszystko inne! Urzędnicy witają nas z grzecznością, żołnierze, trzymający straż wkoło, z uśmiechem. Każdy zda się rozumieć, że ma przed sobą wypuszczonych z domu niewoli nareszcie. Każdy z nich im współczuje. — To widać z całego obejścia się z gromadą podróżnych. Jest jakaś też rewizja, ba... nawet sanitarna, ale to ma charakter prawie przyjacielski, formalny. Celnicy gawędzą z nami, jak znajomi, oficerowie tylko, wielkie „dorodne chłopcy, srodze ruszają wąsiskami i pobrzękują szablą. Ale i to nie straszne. Jesteśmy w Europie. Czuć to od pierwszej chwili. Ta Haparanda, pod 75 stopniem szerokości geograficznej leżąca, jest bowiem Europą w każdym calu. Czysto, elegancko, wytwornie. Przytem dziwnie „gemütlich“. Uczucie zacisznosci tej i łatwości życia ma się przez całą Szwecję. Niedawno jeszcze z nadbrzeżnej Haparandy aż do Karungi jechało się końmi szmat drogi niemały — w zimie szczególnie była to przeprawa okropna — dziś jest już kolej. Czeka na nas pociąg pospieszny z wagonami sypialnemi, z restauracją. Czegóż chcieć więcej! Czuję się w nim wspaniale. W wygodnym przedziale, za towarzysza mam jakiegoś szweda, dość dobrze mówiącego po niemiecku. Na pograniczu spotykamy co chwila wojska. Pogotowie wojenne w całej pełni. Dorodny żołnierz szwedzki, w malowniczym trójkątnym

kapeluszu z czasów Gustawa Adolfa, wygląda niezrównanie. To nie żołdak — to rycerz raczej. Siłą rzeczy poczynamy gawędzić z moim szwedem o wojnie, o polityce.

— Rosyanie — mówi on — mylą się, sądząc, iż mieliby z nami łatwą sprawę w razie zatargu. I Anglia prowokuje nas dość nierozsądnie. Mamy sześćsettyśieczną armię — widzi pan, jaką — a przytem mamy granicę pełną naturalnych przeszkód.

W istocie kraj, przez który przejeżdżamy, przypomina Polesie wotyńskie. Na rozległych moczarach lasy i lasy. To Laponia... Zali myślałem, iż się tu znajdę kiedykolwiek! Ale to jest Laponia kulturalna; dopiero paręset wiorst bardziej na północ poczyną się dziedzina koczowniców, reniferów i psów. Tutaj chmary komarów jedynie przypominają, gdzie jesteśmy. No, i to wciąż wysoko na niebie trzymające się słońce. O godzinie 3 „w nocy“ budzi mnie spiekota poprostu. Zaprawdę, wszystko jest na świecie względne... Stopniowo wjeżdżamy w świat coraz piękniejszy. Góry, bory, jeziora, wodospady, siedziby ludzkie rzadkie, ale wygodne i ładne. Stacje, jak wille. Wsiada na nich po parę osób — wojskowych lub turystów z torbami na plecach. Służba kolejowa wzorowa, czysta, elegancka. Bufetów nigdzie, tylko obok każdej stacyi albo stacyjki — kawiarnia. Lecz nie zaglądam do nich; wagon restauracyjny wystarcza. Punkt o 9-ej zabrali mi posłanie, piję więc na przemian kawę, piwo, poncz szwedzki, byle móż patrzeć na świat przez olbrzymie okna jadalni. Widoki coraz wspanialsze, niezwyklejsze. Przyroda bujna, górska. Jesteśmy już we właściwej Szwecyi. Jeszcze dzień i noc drogi — wreszcie stara Upsala, a za nią Sztokholm. Dziwne miasto — miasto radości i piękna — piękna natury i piękna architektury zarazem. Wielkie ulice, wspaniałe gmachy, parki, aleje i siny Bałtyk, który tu rozbiegi się w mnóstwo kanałów i odnóg i wdziera się do samego środka stolicy. Komunikacja z całą okolicą statkami wyłącznie. W mieście samochodów bez liku, których nie zarekwirovano, jak gdzieindziej. — Dobrodziejstwo pokoju czuć tu na każdym kroku. Dosyt, zamożność. Szwecya, na obie strony handlująca, zarobiła przez czas wojny setki milionów. Ta łatwość zysków sprawdziła, niestety, do niej czeredę całą aferzystów, między którymi żydzi rosyjscy i polscy niepoślednie zajmują miejsce. Dzięki tym ostatnim w hotelu, w którym stoję, co chwila słyszę polski język. Mówią o interesach wyłącznie. Jest to prawdziwa

giełda. W westybulu hotelowym załatwiają się olbrzymie transakcje, toczą się spory i układy kupieckie. Inne spory i inne układy półgębkiem toczą się tu wciąż także po różnych cichych kątach. Wie się o nich, ale się ich nie widzi. Tutaj jednak najprędzej niespodzianka jakaś polityczna dojrzeć jest w stanie — tu, na bezpośredniej rubieży prawie dwóch nieprzyjacielskich obozów. Nigdzie więcej i nigdzie łatwiej nie mogą one wejść ze sobą w czucie bezpośrednie.

Spotykam i polityków polskich... z obozu rusofilskiego przeważnie. Służą oni sprawie narodowej wedle swojego rozumienia najlepiej, grając wciąż w bridge'a u rosyjskiego po-

śla. Należy utrzymywać stosunki z dyplomacją — twierdzą. Życzą im powodzenia. To poczciwi ludzie, tylko te dwa lata przespali w jakimś śnie obłądnym i powtarzają wciąż odwieczne oklepanki. Nauczyli się ongi sprawy krajowe łączyć — i dziś pojąć nie mogą, że przyszedł czas na uszycie Polsce nowego całkiem stroju. Łatają w dalszym ciągu... Rzeczywistość przechodzi mimo nich. Zresztą obrali dla siebie działalność najskromniejszą. Obchodzi ich przede wszystkim... aprowizacja Królestwa. Byle było co jeść — a tam już, co ma być, to będzie. Szczęśliwe rozumowanie i... głębokie...

Dalszy ciąg nastąpi.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARJERY.

7

Romek, utrzymujący się z korepetycji — grosza przyjać od niego nie chciał. Wizyty, coraz rzadsze w „hrabiowskich salonach“ Horskiego, jak pańszczyznę odprawiał. Wreszcie wiecznie zimny, w stosunku do brata cierpki, fałszywie dumny — zupełnie tych wizyt zaniechał, twierdząc:

— Za wysokie progi!

Bogaty empire zegar na kominiku wydzwonił dźwięcznie rozlegającym się w ciszy malinowego gabinetu Horskiego tonami — godzinę dwnastą.

Horski zerwał się z otomany. Przeleżał na niej już kilka godzin. Zaspany służący demonstracyjnie przeszedł przez pokój, nie śmiać zwrócić uwagi swemu panu, że marnowanie w ten sposób czasu — nie ma żadnego sensu.

— Możesz już iść spać Władysławie; sam się do snu rozbiore.

Udał się do swej zbytkownej, prawie kobiecej gotowalni, jaśniejącej w elektrycznym oświetleniu srebrami manicurów, flakonów, szczytów toalety i platyną gałek umywalni i kąpiel.

Przemieniwszy swoją piżamę na night-gown — umyty i odświeżony przeszedł do swej sypialni koloru fraise écorée. I zmęczony, z głową ciężką, jak ołów, spragniony snu, jak zbawienia — rzucił się na angielskie, szerokie, miękkie z mosiężnymi antabami łóżko.

Zagasił światło elektryczne. Zaczął przewracać się z boku na bok. Pojął odrazu doskonale, że o śnie ani mowy dziś być nie może.

— Najwięcej czarnych myśli przychodzi wśród białych nocy.

Te wszystkie kilkogodzinne przejściowe dumy na otomanie — dażyły przecież w końcu do jednego: do królującej ponad wszystkimi jednej myśli: o niej.

— Ha! Niema na to już rady! — jęknął, jak pijak, walczący z nieodkorkowaną butelką, którą w końcu truć się musi. — Irena! Cóż za nonsens! Wiecznie ta żakowska, sztubacka Irena! Śmiechu warte!

Pomimo to nie śmiał się. Sumienie wyrzucało mu, że nie był w tej sprawie tak welinowo czystym, za jakiego chciał we własnym pojęciu uchodzić.

Bo tkwiła w nim zręczna strzała, tak trafnie rzucona ongi w Jędrzejewicach przez ciotkę Benię w jego najczulszą stronę:

— Irena nie tylko, że nie ma grosza posagu, lecz nadto po za matką ma jeszcze dwie siostry, które musi kształcić, wyposażyć. Nie wiem, czy takie ciężary, kule u nogi w zaraniu życia — ułatwią panu karierę? Nie wiem, czy ta przyszła nędza jest tak bardzo nęcąca?

Niema czego ukrywać przed samym sobą: Te zręczne słowa oblały go zimną wodą.

Stchórzył. Bał się, jak ognia, nędzy, a nawet średniego dostatku. Był próżnym, chciał błyszczeć, a do komfortu życia trząsał się, jak dziecko do cukierków, lub jak aszant do świecidełek.

I to banalne zakończenie pierwszej miłości! Po przyjeździe z Jędrzejewic przez cały rok nie miał o Irenie żadnej wieści. Wprawdzie badał o miejsce jej pobytu, starał się o wiadomości. Lecz nie tak energicznie, jak należało.

Wreszcie nadeszły jaknajgorsze nowiny: Jej śpiewacza karyera, którą rozpoczęła pod pseudonimem Signoriny Ireni — nie udała się. Na kilku mniejszych włoskich scenach wygwizdano Signorinę Ireni.

Następnie doszły do niego wieści, że podobno „puściła się“.

Lecz historia pięknych kobiet tak prędko nie kończy się. Powodzenie Signoriny Ireni z czasem trochę wzrosło. Rzecz prosta, kosztem jej honoru.

Oburzano się na jej matkę, z pochodzenia ubogą mieszczkę o niezbyt pewnej młodości. Podobno stało się to za jej wiedzą, a nawet poradą; z upadkiem córki stara się faktycznie solidaryzowała.

Nigdy nie miał zaufania do tej skrytej baby, bez śladu urody, przypominającej raczej starą niankę jego królowny, niż rodzicielkę.

Mówiono, że starsza siostra Ireny, Lola, z tego powodu życie sobie odebrała. Znowuż przez jakiś czas nikt o niej nie słyszał.

Horski robił wtedy karierę...

Od czasu do czasu sływała do niego w nocnych snach, lecz jako czysta dziewica, przed którą klękał, zawsze jeszcze, jako student... Niekiedy wynajdywał ją we Włoszech, oczyszczał z błota, w które wpadła, i zaślubiał... Służący budził go wtedy z oznajmieniem, że karetą jego już zajechała.

Tak przechodziły lata. W trakcie tym Horski wyczytał w dziennikach, że zaangażowano Signorinę Ireni do jakichś mniejszych miast Ameryki.

Wreszcie nowy grom! Wiadomość z tysiąca i jednej nocy!

Cała rodzina otrzymuje od Ireny drukowane na uherbowanym z książecami mitrami welinie zawiadomienie o jej ślubie, który odbył się w Londynie z milionowym pono księciem, Ottonem Ferdynandem Witke-Aschenborghiem, znanym, starym, wiedeńskim hulaką.

Był podobno monstrualnie brzydkim, prawie bez nosa, z miękką czerwoną twarzą, cały w szramach i ranach. Właściciel najznakomitszej w Europie stajni wyścigowej, w której przepędzał życie. Zaraził się nosacizną od ulubionego konia; utracił wskutek tego owłosienie nie tylko głowy, lecz rzęsów i brwi, bez jednego włoska na całym ciele.

Podobno starej Winterowej udało się z wielkim trudem nakłonić córkę do tej miłości, choć Irena nie z jednego pieca chleb już jadła. A tym razem, pomimo, iż zakochany magnat zdecydował się ostatecznie uczynić ją żoną — Irena broniła się z całych sił od tej złotej klatki. Aż starą Winterowa udała się z listo-

wną prośbą do wpływowej ciotki Benisi, która sążnistymi listami skłaniała Irenę, aby nie odrzucała tej karyery; takie zamażpójście zrehabilituje całkowicie jej dawne zdemaskowane już błędy, zapewni byt matce i rodzeństwu i oczyści z plam nazwisko.

Podobno list ten bardzo wpłynął na decyzję Ireny, którą rodzina męża zdecydowała się nawet po jakimś czasie przyjmować w swoich książęcych salonach. Nic dziwnego. Niezależnie od jej burzliwej scenicznej przeszłości — stwierdzono za pomocą konsulatów, iż była przecież wylegitymowaną autentyczną baronówną.

I tak skończyła się ta cała komedia...

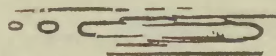
Horski oblicza teraz lata Ireny:

— Musi ich liczyć obecnie około czterdziestki! La comedia e finita!

Machnął ręką. I niewiadomo, jakim kierunkiem myśl jego pomknęła znów ku listowi, otrzymanemu dziś z Jędrzejewic.

— W tem coś jest! Ciotka Benisia darmo nie zaprasza mnie. Ona wogóle nie robj nigdy nic à propos de bottes. Ale co? Czy to nie jakie swaty? Może znowuż jaka uboga, młoda, piękna daleka krewniaczka? Ha, ha! To wzamian za kosza, którego mi ciotka dała przed dwudziestu laty, kiedy w pojęciach jej ładu powinienem był myśleć przedtem o gniazdku a potem dopiero o żonie? Teraz, kiedy zrobiłem karyerę, stanowczo to są swaty! W tych samych Jędrzejewicach... A gdybyż tak faktycznie odżyć tam, odmłodnieć, zakochać się i rozpocząć życie na nowo! — Zasnął prawie już nad ręką — z uśmiechem na ustach.

Dalszy ciąg nastąpi.



Posłaniec i Poeta

czyli

Bekiesza i kaszkiet z numerem.

Przypowieść dobroczynna.

Około południa poeta wyszedł na ulicę i skonstatował, że ma w majątku zaledwie rubla i trzydzieści fenigów, a do końca miesiąca pozostaje jeszcze całych dni dziesięć — stał się bardzo smutny. Mniejsza, że z temi pieniędzmi świata nie podbije, że nie kupi tyle nawet papieru i materiałów piśmiennych, by poemat napisać. Ale jak zgodzić z tym stanem spraw materialnych jeszcze materialniejszą od nich sprawę codziennej strawy gorącej? Krótko mówiąc, poeta był rzetelnie głodny, a pora była obiadowa — dwa zbiegi okoliczności, tak częste na tym padole, że aż pono codzienne...

Na przeciwnym rogu ulicy tłoczył się zgłębliwie do bramy domu długi i barwny, obwiedzony płcią piękną, ogonek... Poeta chwycił się go, jak deski zbawienia. Za chwilę wpływał już, do brzo uznajony, do wnętrza przybytku dobroczynnego.

Spostrzegłszy długowłosego, o subtelnym obliczu młodzieńca, nadobna opiekunka uśmiechnęła się czarująco, i rożgarniając wytworną a spracowaną rączką cisnącą się ku niej rzeszę zgłodniałych prostaków, spytała uprzedzająco:

— Pan z Sekcyi zapewne?

Poeta zarumienił się po samo natechnienie, i nic nie odrzekł.

— Przyszedł pan obejrzeć urządzenie naszej kuchni ludowej. Proszę pana. Oto główna jadalnia dla dorosłych, tam pokój kleików dziecięcych, tutaj wydają kwity na chleb, tam znów na porcy zupy. Te oto bony są bezpłatne, te znów sześciokopiejkowe...

Z tragicznym śmiechem ironii wewnętrznej wyszedł poeta na ulicę, nie spróbował nawet sześciokopiejkowej zupy, której zapach drażnił go przekonująco...

— Czyżby pan chciał skosztować taką prostacką potrawę?... — mówiły czarujące oczy nadobnej opiekunki.

Ma się rozumieć, kto ma taką piękną bekieszę!

— Psiakrew! — zaklął z rozpaczą poeta.

Myśl ze wzruszeniem zwróciła się ku czasom, kiedy to na krótką chwilę uśmiechnęło się do poety oblicze fortuny. Na konkursie na poemat wziął drugą nagrodę, zainkasował, łącznie z wierszowem, rubli sto dwadzieścia pięćdziesiąt kopiejek i za te pieniądze, fantazją zdobyte, sprawił sobie piękną, rzeczywistą bekieszę. Że to szamerowane dziedzicówki zaczynały wtedy zdobywać sobie coraz większe prawo obywatelstwa wśród mieszkańców stolicy...

Nabytek opłacił się sownie. Noszony oszczędnie, przez pierwszy rok przedwojenny spełniał rolę węgla kamiennego w nieopalanem mieszkaniu poety; gdy nadszedł czas pożogi światowej, dopomógł pocie do uzyskania wcale pokazanej zapomogi.

Jak cię widza, tak cię zapomagają — mówi przysłowie dobroczynne.

Teraz, gdy uderzyły pierwsze mrozy, z dumą sięgnął poeta do kufra i wyjął stamtąd ocalony klejnot kawalerski...

Ale co po dumie, gdy pustka w kieszeni?

Pocie strzeliła myśl błogosławiona: sprzedać!

A właśnie szedł ku niemu od strony przeciwnej znajomy posłaniec, w starym, steranym, jeszcze z czasów rosyjskiej okupacji — kaszkiecie, i w palcie urzędowym, pamiętającym czasy Kaweckiej... Posłaniec był więcej, niż znajomym poety. Sasiadowali ze sobą na jednej i tej samej ulicy, w jednym i tym samym domu, na tych samych schodach, na jednym i tem samym piętku — krótko mówiąc, co posłańcowi zgoda nie ubliżało, mieszkali drzwie drzwie. Taka znajomość, to już kawalek przyjaźni.

— Słuchajcie, moi kochani, możecie teraz zaraz — — —

— O, nie, mój panie, teraz zaraz nie pójdę nigdzie, bo idę na obiad.

— Naprzeciwno, za sześć kopiejek? — zazdrośnie spytał poeta.

Posłaniec westchnął złowrogo.

— To dla hołoty, panie, dla prostych ludzi! Mnie by stać było na lepsze, mój panie, ale cóż, kiedy to w jednym tutaj taniaku, o dwa rogi, gdzie porcy dają nikiel w barze, albo u Wróbelki samego, trzeba być, choroba, za inteligencję ubranym! W tej liberyi nie puszczają, ajakże! Subjekt fryzyerski od nas z dołu chodzi, chłopak z biura też, te dwie dziurkarki z przeciwka, i baba od magla, co ma kapelusz z piórami, jak o la Boga, chodzi, ale mnie, choć czytać umiem i pisać nie gorzej i po niemiecku do nojn und nojcyk dorachuję — nie puszczają, bo nie jestem inteligencja.

Obejrzał poetę od stóp do głowy i westchnął serdecznie.

— Żeby to miał taki melonik, jak pan, i takie dziedzicowskie futro, to bym sobie tam poszedł i podjadł, jak się patrzy! A zupełnie powiadam panu, widziałem, jak stamtąd nieśli, to taka inteligentna, że no! Kartofle prawdziwe pływają, jak kaczki po stawie, a oka takie, jak nieprzymierzające okulary na wystawie u okularnika.

Poeta pomyślał przez chwilę i poprosił posłańca na górę.

— Ano — rzekł — bierzcie mój melonik, kładźcie moją bekieszę i idźcie.

Z dwóch biedaków niech się choć jeden dzisiaj naje — dokończył w myśli.

Rozpromieniony, wdział posłaniec spieszenie szaty poety, i tak cudownie przeznaczony, uroczystym człapem podeptał na łono inteligencji.

Gdy powrócił wesół i uśmiechnięty, poeta właśnie zrzucił skwapliwie ze siebie sfiatygowaną liberyę posłańca.

— Co to, pan przymierzał moje czapczyrsko? — roześmiał się stary przyjaźnie.

Poeta zagadał go pytaniem:

— Jakże tam smakowało?

Posłaniec roześmiał się z zachwyceniem.

— He, panie! Ta pani opiekunka od inteligencji, daj jej Boże zdrowie i długie lata, jak tylko mnie zobaczyła, słyszałem, jak mówiła do drugiej:

— Z inteligencji, a tak ciężko pracuje, takie ma ręce spracowane a czarne, dajcie mu tam dobrą porcyę a gestą! I dali mi!

Tak, panie!

— Na jutro pożycz mi pan znowu, co?

Poeta przyrzekł. I przyrzeczenia dotrzymał. Sam zaś udał się o kilka ulic w innym kierunku i napotkawszy pierwszą ciżbę prostaków, wtoczył się za nimi do wnętrza kuchni ludowej.

Dostrzegły go wnet i tam inne znów oczy, niemniej czujne i dobrotliwe, pań opiekunek, i wnet jedna szepnęła do drugiej:

— Pamiętajcie tam o tym posłańcu w kącie: prosty człowiek a jaką ma delikatną twarz i białe ręce.

...Od tego czasu obaj byli zadowoleni ze swych dobroczynnych przemian obiadowych: posłaniec z wytwornej bekieszki poety, poeta — z wytartej czapki posłańcowskiej z numerem...

B. Gorczyński.

Najwyższe prawo.

16

POWIEŚĆ.

Z zapartym oddechem czekał na jej odpowiedź, a Dora szybko stłumiła łzy, w obawie, aby ich mylnie nie zrozumiał.

— Nie, nie, bynajmniej — odrzekła, patrząc mu prosto w oczy — myślałam tylko, jak czas mija i wszystkie szczęśliwe chwile ze sobą zabiera! Czy ty myślisz kiedy o tych rzeczach, Hama? — O tem, jak czas bieży, bieży, i jak wszystko mija, ni-
by sen?

Pathańczyk milczał chwilę, patrząc ze ściągniętymi brwiami przed siebie.

— Tak! — odpowiedział wreszcie — myślę czasem; ale takie myśli są smutne i na nic się nie przydadzą. Ani to, co minęło, ani to, co będzie, nie należy do nas; naszą własnością jest tylko chwila obecna i o niej jedynie powinniśmy myśleć. Wszystko inne jest zbyteczne.

Dora uśmiechnęła się przez łzy.

— Oto, cała filozofia Horacego zawarta w tych słowach — pomyślała.

— Przeszłość jest, jak sen minionej nocy — mówił dalej pathańczyk, czyniąc ręką taki ruch, jak gdyby coś odpędzał. — Gdy dzień przychodzi, mamy swoje zajęcia i pracę i nie możemy myśleć o snach; a kochając tak, jak my kochamy, mój kwiecie migdału, możemy nie dbać o to, co minęło, bo każda chwila z nową radością ku nam się zbliża.

— Wierź mi, Hama, czuję się tak szczęśliwą, że i w raju szczęśliwszą bym nie była — rzekła Dora, ujmując jego rękę i ocierając ją sobie oczu. — Nie zważaj na te łzy i wracaj do twoich mat. Tak się cieszę, że mam cię w domu przez cały dzień.

Hamakhan uśmiechnął się i zabrał się znowu do roboty.

Długi czas panowało milczenie, przerywane jedynie delikatnym chrzęstem palmowych włókien w pachnącej sianem pomroce.

Do południa izdebka była już zupełnie skończona i małżonkowie zasiedli do posiłku złożonego z kawy, ryżu i daktyli.

— Hama — rzekła Dora, z ciekawieniem spoglądając na Hamakhana, po przez wonne opary kawy. — Hama, pamiętasz, kiedyśmy się po raz pierwszy widzieli, powie-

działeś mi, że chcesz mieć dwie żony. Pamiętasz?

— Tak, ale nie teraz — odpowiedział pathańczyk szybko, i aż się wzdrygnął na myśl o jakiejś czarnej, krajowej kobiecie; tak wstrętną mu się wydała w porównaniu z tą białoróżową istotą o turkusowych, mądrych a słodkich oczach, o niepodległym, błyskotliwym umyśle. — Odkąd pokochałem ciebie, nie chcę żadnej więcej żony.

— A jednak — ponowiła Dora — gdybym nie miała syna, twoja religia nakaze ci wziąć drugą żonę...

Nie dokończyła, bo pathańczyk zamknął jej usta namiętnym pocałunkiem.

— Będiesz miała syna — rzekł gwałtownie. — Twoje życzenia będą spełnione.

— Ależ. Hama — wymówiła Dora, kładąc mu rękę na ramieniu i odsuwając go zlekka. — Nie rozumiiałeś mnie. Ja nie potrzebuję ani synów, ani córek, ani niczego; potrzebuję tylko ciebie. Pojmujesz to? Ale ty, jakie są twoje uczucia? Alboż nie pragniesz mieć syna?

Pathańczyk milczał wpatrzony w ziemię, machinalnie obracając w palcach strzępek palmowego włókna.

— Tak — rzekł wreszcie cichym głosem — tak, pragnąłem, bardzo; ale — i tu zawahał się, boć to, co miał powiedzieć, było herezyą, a jednak było niemniej najczystsza prawdą — ale gdy widziałem niebezpieczeństwo grożące twemu życiu... Nie! Nie! jeśli by Allah miał mi dać syna, a zabrać ciebie...

Umilkł znowu i obu rękoma uczynił rozpaczliwy ruch.

— Tyś jest moim srebrnym promykiem, moim kwiatem migdału! Allah nie daje wszystkiego jednemu człowiekowi. Ja mam dość; jestem zadowolony.

Dora słuchała tych słów z bijącym sercem. Czuła, że dusza tego człowieka odsłania jej swoje najtajniejsze głębie; boć każde z tych słów sprzeciwiało się jego rasowym instynktom, jego religii, jego wychowaniu, jego naturze samej; a jednak każde drgało prawdą, każde było odbłaskiem tego ognia, jaki w nim wznieciła, ognia, w którym spłonęły jego tradycje, jego wierzenia, jego ambicje, nadzieje, a który się zwał miłością dla niej.

I Dorze dech zamarł w piersiach i lica pobladły z niewysłowionego wzruszenia, w którym było tyleż prawie lęku, ile szczęścia. Złękła się własnej potęgi, własnego wpływu nad tą pierwotną, żadnego jarzma nie znoszącą naturą.

— Więc w żadnym razie nie weźmiesz sobie drugiej żony?

— Nie!

— Nie rozejdziesz się ze mną w żadnym razie?

— Nie!

— Hama! Puść! Złamiesz mi rękę!

Aż pobladła z bólu, bo gdy wspomniła o rozejściu się, pathańczyk bezwiednie ścisnął jej rękę tak mocno, że aż palce jego worały jej się w ciało. Miała więc tę odpowiedź, której pragnęła, i serce jej napełniło się radością i dumą.

Całe popołudnie Hamakhan pracował bez przerwy i, nim wieczór zapadł, wewnątrz chaty wysłane było ślicznem; matami blado-zielonej barwy, które miały połysk atlasu i woń świeżo skoszonego siana.

O zachodzie słońca wyszli na dziedzińczyk i Hamakhan wyłożył jeszcze w ten sposób cały front chaty, a Dora zajęła się przygotowaniem wieczerzy. Ale nie siedzieli już przy księżycu, jak poprzedniego dnia, bo pozostało im jeszcze sporo roboty z zawieszaniem białej zasłony w poprzek pierwszej izby, jak to było z Brishamgur, i z wbijaniem haków do lamp i zwierciadła.

Po upływie tygodnia, gdy już zagospodarowali się całkowicie na nowem mieszkaniu, Dora poddała myśl rozpoczęcia systematycznej nauki, która dotąd szła dorywczo, a Hamakhan skwapliwie i radośnie na to przystał.

Był tak umiejętnym wyplataczem mat, że łatwo dostał robotę w mieście i co rano wychodził o świcie. Musiał teraz pracować dwie godziny dłużej każdego dnia, aby zarobić na komorne, i odbywał często daleką drogę do porozrzucanych na znacznej przestrzeni bungli, gdzie go wzywano, lecz energia i żywotność tej rasy jest tak wielką, że gdy wracał po całodzienną, uciążliwą, prawie, że o głodzie pracy, gotów był, posiliwszy się, do rozpoczęcia lekcji z Dorą.

Ona nie raz chciała mu to wyperswadować i prosiła, by sobie odpoczął; ale on wybuchal śmiechem za całą odpowiedź.

— Mam odpoczywać? A przecież ja odpoczywałem cały ten czas, kiedyś się kąpałem i jadłem, a teraz pora zabrać się znowu do roboty.

Projektowana podróż do Anglii nęciła go i cieszył się nią, jak dzie-

oko, które wyciąga ręce do wszystkiego, co nowe, co nieznanne. Wyobrażał sobie, że będzie musiał znaleźć tam robotę, jak tutaj, że zapotrzebowanie mat jest takie same w Anglii, jak w Indyach, Dora zaś nie rozwodziła się zbytnio nad rodzajem życia, jakie ich tam czekało, sądząc, że będzie lepiej, gdy ta świadomość przyjdzie mu stopniowo, sama przez się.

Żądała tylko, żeby się nauczył rzeczy najpotrzebniejszych w tem nowem życiu i żeby zaczęli zbierać potrosze pieniądze na podróż. Hamakhan zgodził się na to chętnie i skoro tylko zjedli wieczerze, biegł do izby po książki.

— Pójdź — mówił siadając na macie przed chatą i wyciągając ramiona do Dory — pójdź; usiądź tu przy mnie i czytamy. To takie zabawne.

Dla niego wszystko to było — zabawą. Nauka nie przedstawiała żadnych trudności dla tej pierwotnej, bystrej inteligencji, której pojętność i jasność wprawiała Dorę poprostu w osłupienie.

Przyzwyczajona do angielskich umysłów, które potrzebują dziesięć lat szkolnej nauki, by jako tako uporać się z łaciną i którym potrzeba każdą rzecz po tysiąc razy powtarzać, nim ją sobie przyswoją, nie mogła połapać się z tą błyskawiczną szybkością, z jaką ten orientalny mózg wszystko chwycił i pochłaniał.

Sama miała doskonałą pamięć i uczyła się bardzo prędko, ale wiedziała, że była wyjątkiem pod względem umysłowych zdolności pośród swoich rodaków, a przecież te jej zdolności były niczem w porównaniu z pamięcią i bystrością Hamakhana.

— Już mi to powiedziałaś. Już to wiem — mówił jej zawsze, gdy mu coś powtórzyć chciała.

— Alboż tobie wystarcza usłyszeć coś raz, abyś to zapamiętał? — spytała go kiedyś, nie mogąc wyjść z podziwu.

— Oczywiście. Przecież to tak łatwo pamiętać — odpowiedział pathańczyk z prostotą; i rzeczywiście nie zdarzyło się nigdy, żeby jakiegokolwiek lekcyi zapominał, lub ten sam błąd dwa razy popełnił.

W takich warunkach nauka była istotnie najmiłą rozrywką i co wieczór siadywali przytuleni do siebie na dziedzińcyku, obłożeni książkami i kajetami; siadywali tak długo, dopóki księżyc nie wyblęsnął z po za palm, a cienie ich pierzastych liści nie zaczęły kłaść się na ziemi srebrnem światłem zalanej.

Nieza długo Hamakhan czytał już i pisał poprawnie po hindustańsku.

Dora wydoskonalila go w tem przedewszystkiem, chcąc mieć choć jeden język, w jakim na wypadek rozłąki mogliby się porozumiewać ze sobą. Teraz zaczynał już pisać angielskie ćwiczenia i zapoznał się z geografją Anglii, której mapę rysował na ziemi; ze zdumiewającą dokładnością.

Dora zamierzała przejść z nim kurs średnich szkół męskich w Anglii, który zazwyczaj wymaga dziesięciu lat, a który, jak sądziła, nie zajmie Hamakhanowi więcej, niż pół roku; potem mogli się wziąć do wyższych i trudniejszych studyów.

W ten sposób upłynął miesiąc; miesiąc rzeźwych, jasnych poranków, różnanych wieczorów i srebrzystych nocy; miesiąc ciężkiej pracy, oszczędności, radowania się teraźniejszością i spokojnego patrzenia w przyszłość.

Pewnego wieczora Hamakhan wrócił z twarzą tak zaszępiłą, że Dora, spojrzawszy na niego, zerwała się na równe nogi.

— Co ci jest? Co się stało? — zapytała.

Pathańczyk, nie nie odpowiadając, usiadł pod chatą i zaczął odwijać turban z głowy. W rożku karmazynowej tkaniny tkwił kawałek zapisanego papieru. Hamakhan podał go Dorze; ona zaś rozwinęła go i przeczytała nabazgrane po hindustańsku następujące wyrazy:

„Gaida Khan przesyła pozdrowienia Hama Khanowi. Jest chory i zmartwiony i prosi, by Hama Khan przybył do niego. Hamakhan ma przybyć sam, bez żony, ze względu na nią samą. Żadne niebezpieczeństwo nie grozi Hama Khanowi, jeżeli przybędzie sam; ale niech nie zwleka. Nieobecność Hama Khana w jego domu nie potrwa długo“.

Do tego listu dołączony był pogięty, srebrny pierścionek, który Gaida nosił zawsze na piątym palcu.

Dora przeczytawszy spojrzała na Hamakhana i spotkała się z jego badawczym, zamyślonym wzrokiem.

— Co zamierzasz uczynić? — zapytała, i nagle uczuła lodowaty chłód pod czaszką na samą myśl, że go, chociaż na krótko, utraci.

— Gaida jest moim przyjacielem i obojgu nam okazał wiele życzliwości — odparł Hamakhan. — Muszę jechać.

— Nie masz ochoty?

— I po co pytasz? Wiesz dobrze, że nie mogę mieć ochoty.

Dora poszła do izby i przyniosła ugotowaną poprzednio kawę. Ręka jej się trzęsła, gdy podawała filiżankę mężowi. Była blada, jak płótno. Pathańczyk nie spuszczał z niej oka.

— Myślisz, że to prawda? — zapytał. — Nie kryje się w tem jakiś podstęp?

Och! jakże pragnęła powiedzieć mu, że tak jest w istocie! Jak pragnęła zatrzymać go za wszelką cenę! Ale nie mogła mówić wbrew własnemu przekonaniu.

— Nie. Nie zdaje mi się — odrzekła. — Myślę, że to jest własnoręczne pismo Gaidy, a oboje wiemy, że to jego pierścionek. Oczywiście, zaręczyć za to nie mogę. Może to być równie dobrze zasadzka.

Wzięła list i gdy Hamakhan poszedł wykapać się, odczytała go kilkakrotnie. Wydał jej się niewątpliwym i wiedziała już, jak ma postąpić. Nie może wstrzymywać Hamakhana. Będzie konać tu z niepokojem o niego, ale to nic nie znaczy. Gdyby go nie puściła, i gdyby potem co złego stąd wynikło, on by jej tego nigdy nie przebaczył! A więc... a więc..

Hamakhan, wróciwszy na dziedzińcyk, zastał Dorę siedzącą nieruchomo na tem samem miejscu, gdzie ją zostawił. Głowę miała schyloną nisko; wielkie łzy spływały cicho po jej policzkach na matę, błyszcząc w świetle zachodu, jak krople krwi.

Hamakhan przystąpił do niej żywo.

— Posłuchaj! — rzekł — nasza religia nakazuje nam pomagać sobie wzajemnie w chorobie i nieszczęściu i zgodnie z tem muszę usłuchać wezwania Gaidy. Ale dla twojej miłości uczyniłem już tyle rzeczy sprzeciwiających się naszej wierze, że jedna więcej... Allah zrozumie i wybaczy. Więc zostanę dla twego bezpieczeństwa i szczęścia, jeżeli sobie życzysz.

Dora słuchała ze spuszczonemi oczyma z wypiekami na policzkach. Znała swój wpływ nad tym człowiekiem; swoją władzę. Gdy skończył, powstała i utkwiała jasne spojrzenie swych cudnych, błękitnych oczu.

— Tak; to prawda Hama — rzekła cichym głosem. — Czyniłeś wiele rzeczy... ale to były wszystko drobne wykroczenia, tyżące się zwyczajów i religijnych przesądów... Nie nakłaniałam cię nigdy, abyś postąpił wbrew ogólnoludzkim, etycznym ideałom i nie zrobię tego teraz. Jeżeli uważasz, że powinienes usłuchać wezwania Gaidy, usłuchaj go, choćbyśmy to oboje życiem przypłacić mieli.

— *Mashalla!* (Boże uchroni) — wykrzyknął pathańczyk, mimowoli ujmując jej ręce w obie dłonie i tonąc w niej oczyma.

Dalszy ciąg nastąpi.